

Kozolubski, Juliusz

O prowadzeniu wojny 1863 roku

Przegląd Historyczny 34/2, 479-492

1937-1938

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

O prowadzeniu wojny 1863 roku

Trudno jest w ramach tak krótkiego referatu dać syntezę wojny 1863 r. i dlatego z musu ograniczę się do zarysowania najważniejszych momentów powstania, licząc na to, że panowie koreferenci nasświetlą szereg z nich, uzupełniając je i wyjaśniając.

Nie ulega wątpliwości, że pierwsze koncepcje powstańczego planu działania powstały na emigracji, gdzie od lat myślano nad sposobem podjęcia walki zbrojnej z Rosją. Tam powstał szereg koncepcyj taktycznych, nieraz bardzo racjonalnych, które jednak na nieszczęście nie dotarły do kraju i nie rozpowszechniły się wśród przyszłych oficerów i żołnierzy powstańczych. Na emigracji też powstały i pierwsze koncepcje strategiczne.

Kraj, a w szczególności Królestwo, żadnych koncepcyj, ani taktycznych ani strategicznych wytworzyć nie mógł, po prostu dlatego, że nie posiadał ludzi o odpowiednim przygotowaniu. Dawni wojskowi polscy z 1831 r., pozostali w kraju, którzy by mieli coś do powiedzenia, nie wierzyli w możliwość walki zbrojnej i woleli dożywać swego żywota w spokoju. Młodzi, nawet te nieliczne jednostki, które z musu lub z ochoty służyły w wojsku rosyjskim lub innym, nie byli zdolni do rozwiązywania tego rodzaju zagadnień, bo, albo nie służąc w wojsku, nie mieli o nim pojęcia, albo też wynieśli ze swej służby wojskowej nieco rutyny dowódcy plutonu czy najwyżej kompanii w regularnym wojsku. Rutyna ta zaś wcale nie dawała wskazówek taktycznych, a przede wszystkim organizacyjnych, których w pierwszym rzędzie potrzeba było dowódcy oddziału powstańczego. Zemściła się też ona później, w chwili gdy obejmowali dowództwo oddziału, złożonego nie z wyćwiczonych żołnierzy, a z młodzieży, owianej duchem poświęcenia i gotowej do bohaterskich wyczynów, ale nie umiejącej strzelać ani nawet ładować broni.

Kontakt kraju z emigracją, ściślejszy w ostatnich latach przed powstaniem, a szczególnie szkoła wojskowa w Genui i Cuneo udostępniły większemu zespołowi ludzi poglądy naszych teoretyków na sposób prowadzenia wojny powstańczej, i zaznajomiły szereg przyszłych dowódców z regulaminami, opracowanymi pod kątem potrzeb wojny powstańczej w Polsce.

Regulaminy te miały jedną wadę w sytuacji, w której znajdującym je dowódcom przyszło działać. Oto, nie licząc się wcale z położeniem kraju, którego ich autorzy nie znali, opuściwszy kraj przed trzydziestu laty, nie przewidywały trudności, na jakie dowódcy oddziałów powstańczych natrafiają w pierwszej chwili. Autorzy ich nie brali w rachubę faktu, że od 30 lat nie było poboru do wojska, że broni było niezwykle mało w kraju i to przeważnie myśliwskiej, że młodzież miejska w ogóle nie miała sposobności zaznajomienia się z użyciem broni i że przyszli żołnierze powstańczy w pierwszej chwili będą zupełnymi rekrutami. Regulaminy mówiły tylko o żołnierzu wyszkolonym, a nie dawały programu skróconego szkolenia żołnierza powstańczego, ani praktycznych wskazówek organizacyjnych, które by pozwoliły w pierwszej chwili opanować gromady bezbronnej, źle odzianej i zwykle głodnej młodzieży.

Tak się rzecz miała w dziedzinie teorii taktycznej. W dziedzinie strategicznej sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Najwybitniejszym autorytetem był tu Mierosławski przez swą działalność wojskową, polityczną, a także dzięki swym pracom historycznym, politycznym i wojskowym. I choć w dziedzinie taktycznej szukał jakiegoś lekarstwa na braki rewolucyjnej armii w wozach bojowych czy tornistrach kosynierskich lub planował fantastyczne zamachy w rodzaju zaproponowanego przez niego owładnięcia Górczakowem i jego rodziną w dniu 25 lutego 1861 r., w dziedzinie strategicznej sady jego wydają się słuszne.

Poglądy swoje wyłożył on w „Instrukcji powstańczej”, wydanej w Paryżu w 1862 r., lecz prawdopodobnie już poprzednio w rozmowach i dyskusjach ze współpracownikami czy emisariuszami z kraju poruszał je tak, że stały się one dosyć znane kierowniczym sferom spisku, oddziaływując mniej lub więcej na poglądy różnych wybitnych działaczy, niezależnie od tego, czy byli zwolennikami Mierosławskiego, czy też jego przeciwnikami.

Zasadniczymi pomysłami Mierosławskiego, które zaważyły na rzeczywistości realizowanych planach powstańczych, był projekt napadu na garnizony rosyjskie, oczyszczenie z nich pewnej połaci kraju i stworzenie z niej place d'armes dla półmilionowej powstańczej armii, która by tam, wykorzystując zaskoczenie Rosjan, w ciągu kil-

ku tygodni zorganizowała się, uzbroiła i wyszkoliła, a następnie podjęła walkę z wrogiem.

W razie niepowodzenia tego planu należało się starać o uzyskanie takiego place d'armes w oparciu o granicę austriacką, w jednej z wklęsłości granicy austriackiej, która chroniłaby owo place d'armes od przeskrzydlenia przez Rosjan. Do tego obronnego gniazda należało ściągnąć jaknajwięcej uzbrojonych ochotników i ćwiczyć ich w mustrze kosyniersko-strzeleckiej, dopiero sformowawszy z nich korpus odpowiednio silny wyruszyć z nim w pole.

Nie dyskutując w tej chwili możliwości utworzenia półmilionowej armii i musztry kosyniersko-strzeleckiej, przyznać należy, że koncepcja atakowania rosyjskich garnizonów, rozrzuconych dosyć szeroko i przeważnie drobnymi oddziałami, była racjonalna, bo godziła w siły żywe przeciwnika i, przy wykorzystaniu momentu zaskoczenia, mogła dać natychmiastowe rezultaty. Pomysł zaś stworzenia place d'armes, czy po zniesieniu garnizonów rosyjskich w pewnej części kraju, czy też w oparciu o występy granicy austriackiej, miał dać miejsce i czas dorywczo zebranym siłom powstańczym na zorganizowanie się, zwanie w jednostki wojskowe i stworzenie większych jednostek, które można by przeciwstawić następnie siłom rosyjskim. Miejsca takiego na ogół oddziały powstańcze nie znalazły i, podejmując walkę nieraz w tym samym dniu, w którym zostały zebrane, ponosiły klęskę choćby tylko dzięki brakowi potrzebnego zżycia oddziału, nie mówiąc już o brakach w wyszkoleniu, uzbrojeniu itd. Nie udało się też nigdy stworzyć z nich poważniejszych sił, gdyż największe skupiska oddziałów powstańczych, liczące parę tysięcy ludzi, zawsze rozpadały się na kilka oddziałów o różnej organizacji, różnych rodzajach broni, różnym uzbrojeniu wewnątrz każdego oddziału, a także różnym poziomie wyszkolenia wojskowego tak, że zawsze stanowiły zlepek bardzo luźny, o małym ośrodku jako tako wyszkolonych żołnierzy, którzy w decydujących momentach musieli się poświęcać dla uratowania chmary otaczających ich nieuzbrojonych i niewyszkolonych ochotników. Otóż tej różnorodności poziomu wyszkolenia, a także do pewnego stopnia i brakowi broni, zamierzał Mierosławski przeciwstawić przepisy swej musztry kosyniersko-strzeleckiej.

Musztra ta polegała na wykorzystaniu kosynierów, najbardziej łatwego do stworzenia rodzaju broni w ówczesnych warunkach w Polsce, jako ośrodka działań bojowych oddziałów powstańczych. Batalion kosynierski miał być jednostką taktyczną, decydującą na polu walki swym uderzeniem, lub też odpierającą natarcie nieprzyjaciela w karabatalionie. Strzelcy mieli tu zadanie drugorzędne, pod-

jęcia walki w łańcuchach tyralierskich i podprowadzenia w walce nieprzyjaciela na dogodną dla batalionu kosynierskiego odległość. W decydującym momencie rozstępowali na boki, dając pole kosynierom.

Pomysły te, w zasadzie słuszne, bo przewidujące przynajmniej jakąś siłę uderzeniową, gdy jej nie mogli stanowić strzelcy, uzbrojeni w liche dubeltówki bez bagnatów, ani słaba kawaleria powstańcza, w całej rozciągłości stosowane chyba były tylko przez Mierosławskiego w czasie jego krótkotrwałej kampanii. W początkach powstania w szeregu wypadków użyto kosynierów do natarcia i to nie raz z dużym powodzeniem, ale z czasem, z rozwinięciem się rzekomej partyzantki, kosynierzy stracili znaczenie i stali się raczej zawadą w oddziałach.

Koncepcje Mierosławskiego, wyłożone w „Instrukcji powstańczej” i „Musztrze kosynierskiej” z 1861 r., znane były niektórym członkom Komitetu Centralnego, choćby z egzemplarzy, przedostających się do kraju, ale na razie w dobie rozbudowy organizacji nikt ich serio nie brał, ciągle odsuwając na dalszy plan rozpoczęcie walki zbrojnej tak, że na ogół nie pamiętano o nich.

✧ Dopiero gdy Centralny Komitet uroczyście przyobiegał nie dopuścić do branki, nie mając jednak żadnych materialnych możliwości dotrzymania swej obietnicy, stanęło przed nim zagadnienie, co zrobić z ludźmi, uchylającymi się od branki. Termin branki zbliżał się, a wśród członków Komitetu utwierdzało się przekonanie, że na bezpłodnych sporach zmarnowano wiele drogiego czasu i w pole wyjść nie ma z czym.

Wówczas Padlewski wystąpił ze swym pierwszym planem, mającym ocalić reputację Centralnego Komitetu. Plan ten polegał na koncentracji poborowych w lasach w okolicy Dąbrowy i Suchedniowa. Poborowi z całego kraju mieli się tam udać w myśl specjalnych marszrut, opracowanych przez Padlewskiego, i, otrzymawszy z zagranicy broń, stworzyć 10-tysięczną armię desperatów, mającą zamkniętą drogę powrotu. Armia ta miała wystąpić zaczepnie, podczas gdy reszta kraju narazie miała pozostać spokojną. O ile działania poborowych odniosą sukces, wówczas staną się one hasłem ogólnego powstania, o ile zaś zawiodą i poborowi zostaną rozproszeni, wówczas wystąpienie ich można będzie upozorować w opinii publicznej, jako spontaniczny protest ludności przeciw gwałtowi branki.

Plan ten samobójczy zamiast jakiejś koncepcji powstańczej wyglądał na chęć wygubienia, bez pożytku dla sprawy powstania, poborowych, stanowiących większość organizacji. Dlatego też nie wyszedł ze sfery projektów, tymbardziej, że oparty był na tyłu niewia-

domych, iż nawet sformowanie oddziałów w lasach suchedniowskich stało pod znakiem zapytania. Trudność niezauważonego ściągnięcia tysięcy poborowych z całego kraju do rejonu, leżącego ekscentrycznie, trudności w wyżywieniu takiej masy w terenie bardzo ubogim i uprzednio nieprzygotowanym, brak broni, której dostarczyć miała Komisja zakupu broni, a wreszcie brak celu działania tej armii, koncentrowanej w lasach, przesądziły realizację projektu, tymbardziej, że większość Komitetu Centralnego nie zamierzała tak wcześnie wywoływać wybuchu powstania.

Parcie dołów organizacji, domagających się wybuchu, konieczność przeciwstawienia się brance, która zagrażała wielu członkom organizacji, połowiczny pomysł dyslokacji poborowych, polegający na rozłożeniu ich w obcych miejscowościach, ale bez celu, którym mógł być tylko zbrojny wybuch, wszystko to wpływało na Komitet Centralny w kierunku powzięcia decyzji wybuchu.

Padlewski w charakterze naczelnika miasta, szczególnie odczuwający nacisk organizacji miejskiej, zagrożonej w dużym procencie branką, szukał jakiegoś rozwiązania, którym mógłby uspokoić podwładnych, z drugiej zaś strony zyskać dlań aprobatę Komitetu Centralnego.

W czasie próby dostosowania zaczętej już dyslokacji poborowych do jakiegokolwiek planu, bardzo na rękę okazał się mu zakomunikowany mu z cytadeli od uwięzionego tam Jarosława Dąbrowskiego plan opanowania twierdzy Modlina przy współudziałaniu z powstańcami spiskowców z pośród oficerów tamtejszego garnizonu i szkoły junkierskiej.

Nie starając się nawet sprawdzić siły spiskowców i możliwej z ich strony pomocy, Padlewski opracowuje swój drugi plan. Opanowanie twierdzy Modlina ze znajdującymi się tam zapasami broni i amunicji staje się głównym punktem tego planu, w oparciu zaś o Modlin drugim głównym momentem jest opanowanie Płocka, oczyszczenie terenu z garnizonów rosyjskich i utworzenie na nim podstawy dla tworzenia wojska. Po zajęciu Płocka miał się tam udać Komitet Centralny i ujawnić się, jako Rząd Narodowy. Na reszcie obszaru Królestwa zastosował Padlewski pomysł Mierosławskiego napadu na garnizony rosyjskie. W tym celu popisowi i członkowie organizacji mieli się zebrać w oznaczonych punktach z taką bronią, jaką kto posiadał, i pod dowództwem komisarzy i wyznaczonych z góry naczelników mieli napaść na załogi rosyjskie i znieść je.

Tak ostatni plan wybuchu powstania dzięki projektowi Dąbrowskiego wszedł na tory zapomnianego, a raczej pominiętego pomysłu Mierosławskiego, przyczym okazało się już w trakcie przygotowań,

że on tylko jest realny i możliwy do wykonania. Mimo, że twierdza Modlin nie była przygotowana do obrony, ale posiadała 2-tysięczny garnizon, obsadzający wartami wszystkie dostępy do niej, spiskowi oficerowie i podchorążowie zaś w okresie demonstracyj sympatyzujący z ruchem narodowym teraz jakoś nie byli skłonni do ryzykowania swej głowy, i wprowadzenia do twierdzy powstańców, tym bardziej, że szkołę podchorążych zabrano wówczas z Modlina. Zresztą, jak wszystkie przygotowania powstańcze, i kontakt z nimi pewnie w drodze konspiracyjnych raportów uległ wyolbrzymieniu. Nic nie znaczące rozmowy, nim dotarły do władz naczelnych, urastały do rozmiaru zobowiązań, a koleżeńskie zebrania podchorążych do rozmiarów spisku. Wydaje się również, że Padlewski w ogóle nie mógł nawiązać kontaktu ze spiskowymi oficerami.

Także i siły, którymi Padlewski, dowodzący w Płockim osobiście, miał opanować Modlin, dalekie były od tego, czego oczekiwał po raportach organizacyjnych. Liczył się on z oddziałem 4-tysięcznym, zebranych w myśl jego dyrektyw w lasach Serocka na prawym, i w puszczy Kampinoskiej na lewym brzegu Wisły. Tymczasem w puszczy Kampinoskiej Padlewski zastał tylko około 500 ludzi, uzbrojonych w kije, kosy i nieco strzelb myśliwskich i przekonał się, że zapewnienia, jakoby różne osoby z organizacji miały dla tych ludzi przygotować w okolicach Modlina kwatery, ciepłą odzież i oficerów, były bajką, gdyż poborowi bładzili po lasach kampinoskich o chłodzie i głodzie tak, że jednostki z nich, zawiedzione w nadziejach, wołały wrócić do Warszawy i dobrowolnie oddać się w ręce rosyjskie.

Prawdopodobnie ta rozbieżność między optymistycznie ujmującymi sprawę przygotowań raportami organizacyjnymi, a rzeczywistością i katastrofalny brak broni rzuciły się w oczy nie tylko Padlewskiemu, ale także i innym naczelnikom, przybywającym na swe tereny dla objęcia dowództwa nad oddziałami powstańczymi. Uzbrojenie przedstawiało się rozpaczliwie. P r z y b o r o w s k i twierdzi, że w całym Królestwie Polskim po ostatnim rozbrojeniu znajdowało się w ręku dostępnym dla powstańców tylko 600 sztuk palnej broni myśliwskiej. Komisja zakupu broni, późno powołana, nie dostarczyła do kraju jeszcze ani jednej sztuki broni, cała nadzieja więc na uzbrojenie powstańczej armii opierała się na wyniku napadu na załogi rosyjskie. Hasło rzucone przez Leona Frankowskiego „z rękoma na karabiny, z karabinami na armaty” charakteryzowało sytuację, ale też i lekkomyślność jego twórców.

Rozbieżność między przechwałkami organizacji, nieuniknionymi w każdym spisku, a rzeczywistością zaskoczyła tych oficerów rosyj-

skich, których organizacja pozyskała, a którzy narazie byli prawie jedynymi wojskowymi w szeregach powstańczych. Byli to przeważnie oficerowie liniowi niższych stopni o horyzontach taktycznych i praktyce dowódcy kompanii, najwyżej batalionu, ale batalionu w związku, stanowiącego maszynę bardzo sprawnie działającą na komendę, ba złożoną z żołnierza wytresowanego w długiej służbie, jednolicie uzbrojonego i wyekwipowanego. Nawet i ci oficerowie, którzy mieli praktykę z walk na Kaukazie, znajdowali się tutaj w warunkach dla siebie zupełnie nowych, w których nie umieli się znaleźć. Większość ludzi nie miała żadnej broni, a ci nawet, co ją mieli, nie zawsze umieli jej użyć. Struktura organizacyjna, najwyżej dziesiątki czy setki organizacji nie dawały możliwości taktycznego użycia oddziału, oddziały powstańcze przedstawiały się raczej jako tłumy ludzi, ożywionych najlepszymi chęciami, ale umiejących się bić tylko wręcz w pojedynkę, bez jakichkolwiek zasad taktycznych w oddziale. Przeważał wśród nich narazie element miejski, a więc mniej obeznany z trudnościami terenowymi, trudami marszowymi i zimą. Wreszcie liczba ich nigdy nie odpowiadała zapowiedziom organizacji, gdyż zawsze była mniejsza, niż przewidywali w swych obliczeniach spiskowi.

Na ogół pierwszy moment zetknięcia się oficerów z przyszłymi swymi podkomendnymi był dla nich wielkim rozczarowaniem i wielu z nich po pierwszej nieudanej próbie zniechęciło się, a trzech nawet uczestników nieudanego napadu na Radomsk wolało się oddać w ręce rosyjskie i dać głowę, niż dalej brać udział w walce.

Naprzeciw tak słabych i niezorganizowanych sił powstańczych, które na całej przestrzeni, objętej powstaniem, nie osiągały 20 tysięcy ludzi, stała armia rosyjska, licząca ogółem 111.245 ludzi w 66 batalionach piechoty, 24 szwadronach jazdy, 60 secinach kozaków i przy 176 działach. W liczbie tej było kombatantów 78.671 piechoty, 4.539 jazdy, 7.688 kozaków, 5.402 artylerzystów i 171 żandarmerów. Siły te były rozrzucone batalionami, a nawet kompaniami, szwadronami i bateriami po różnych miastach i miasteczkach Królestwa.

Napad na garnizony rosyjskie, za małymi wyjątkami, nie dał rezultatów. Nie opanowano Płocka, ani żadnego z ważniejszych miast, rozprószone kilka drobniejszych jednostek rosyjskich, zdobyto kilkaset sztuk broni, a, co najważniejsze, Rosjanie zostali zaskoczeni rozmiarami i rozprzestrzenieniem powstania i przez trzy tygodnie prawie nie przedsiębrali żadnych zasadniczych wystąpień przeciw powstaniu.

W rozkazie z dnia 23.I. dowództwo wojsk rosyjskich w Królestwie poleciło skoncentrować oddziały rosyjskie w punktach, które naczelnicy wojskowi uznają za najodpowiedniejsze z tym, że w punktach tych koniecznie należy skupić conajmniej dwa bataliony piechoty z odpowiednią liczbą jazdy, kozaków i artylerii. Działać zaś miano przeciw oddziałom powstańczym silnymi a ruchliwymi oddziałami, wysyłanymi z tych punktów.

Powstańcy po nieudanych napadach, tak samo jak Rosjanie, na jakiś czas popadli w beczynność, idąc najczęściej po najmniejszej linii oporu, napadów na magazyny solne, poczty, a nad granicą na placówki straży granicznej. Zabrakło im teraz celu do działania. Pokusić się drugi raz o zajęcie tych miast powiatowych, których nie udało im się zająć w pierwszym momencie powstania przy zupełnym zaskoczeniu przeciwnika, teraz, kiedy przeciwnik miał się na baczności i skoncentrował się w miastach, nie miały już odwagi. Ale pierwotny ten cel, zajęcie miast dla zniszczenia garnizonów rosyjskich, będzie jeszcze przez cały czas powstania wywierał dużą atrakcję na umysły powstańczych dowódców, którzy ciągle, zebrawszy siły, uważane przez nich za wystarczające, będą usiłowali ovladnąć tym czy innym miasteczkiem mimo, że wartość opanowania danego punktu nie stała w żadnym stosunku do strat, jakie trzeba było ponieść w walce z Rosjanami, obsadzającymi go.

Najbardziej energiczni dowódcy, jak Rogiński, Padlewski na czele zebranych dookoła siebie oddziałów usiłują powstanie rozprzestrześć i swą działalnością prowokują kontrwystąpienia rosyjskie. Większość jednak oddziałów powstańczych, osłabionych odpadnięciem zniechęconych niepowodzeniem nocy 22 stycznia, niby organizuje się, to znaczy siedzi beczynnie tak długo, dopóki nie ulegnie rozbiciu lub nie zostanie przepędzona przez bardzo małe nieraz oddziały rosyjskie.

Powoli inicjatywa przechodzi w ręce rosyjskie. Rosjanie podejmują wyprawy przeciw okolicznym oddziałom powstańczym i, o ile przychodzi do starcia, druzgocą je nie tyle wyższością taktyczną czy liczbową, ile przewagą uzbrojenia i zwartej organizacji. Zwykle na wiadomość o pojawieniu się jakiegoś oddziału powstańczego, naczelnicy wojenni opracowują dosyć skomplikowany plan koncentrycznej akcji kolumn z kilku garnizonów, niezawsze dobrze uzgodnionej w czasie tak, że często powstańcom udaje się wyslizgnąć z matni, dzięki niejednoczesnemu zjawianiu się sił rosyjskich na polu walki. Oddziały, którym się uda wyslizgnąć z walki i zerwać kontakt z nieprzyjacielem, uchodzą klęski, gdyż Rosjanie ciężcy są dla pościgu w terenie. Niewątpliwie zwycięstwa polskie są rzadkimi wyjątkami,

na które składają się wyjątkowo szczęśliwe okoliczności lub błędy Rosjan.

Działania polskie powoli przeradzają się w ową partyzantkę, której Mierosławski uniknąć chciał za wszelką cenę. Polega ona na wymykaniu się coraz śmielej polującym na Polaków oddziałom rosyjskim, bez szukania z nimi walki, a przeciwnie na unikaniu jej. Tylko niektórzy dowódcy polscy przyjmują walkę z przeciwnikiem lub też, mając oddział wypoczęty, szukają jej na podstawie wiadomości, uzyskanych o nieprzyjacielu. Inni jeszcze ograniczają się do zasadzek na patrole kozackie, konwoje itd., większość jednak ogranicza się do t. zw. alarmowania Rosjan, to jest do oddania z ukrycia paru strażów do obozującego oddziału rosyjskiego, placówki przed miastem itd.

Wydział Wojny Rządu Narodowego doskonale zdawał sobie sprawę z niewłaściwej taktyki naszych oddziałów, których dowódcy swoją nieudolność usiłowali wytłumaczyć potrzebą zachowania oddziałów do czasu wojskowej interwencji Austriaków czy Francuzów, — i w odezwie z dnia 4 maja bardzo trafnie wykazał braki ówczesnej naszej taktyki.

Odezwa ta mówi: „Oddział trzymający się tylko odpornie zostawia prawie zawsze nieprzyjacielowi wybór miejsca i chwili do boju; nigdy prawie nie wie o jego ruchach, dozwala mu ściągać zewsząd wielkie możliwe siły, a więc same tylko niekorzyści osiągając, ostatecznie naraża się na pewną klęskę”. Bardzo słusznie podkreśla, że taktyka unikania walki demoralizuje do gruntu młodego, niewyrobionego żołnierza powstańczego, „albowiem tak przywykając ma za szczyt wojennego działania i wojennej sztuki zreczne cofanie się i ujęcie przed nieprzyjacielem, przez co staje się miękkim i niepewnym, ilekroć przychodzi nagła i konieczna potrzeba stanowczego i otwartego boju”.

Zarzuca dalej, że kawaleria i kosynierzy skutkiem tej taktyki „stają się słabym i bojaźliwym wojskiem, które nieraz już dało haśło do rozsypki”, a tymczasem oni stanowią broń, która „bez wprowadzonych z zagranicy sztuców i prochu, z małą stosunkowo stratą, świetne nad Moskwą może odnosić zwycięstwa”.

Jednakowoż odezwa Wydziału Wojny nie mogła przełamać zakorzenionego silnie w większości oddziałów unikania nieprzyjaciela, na które współcześni ukuli nawet nowy termin techniczny, zwąc te oddziały „uciekiniernami”.

Na ogół jednak oddziały powstańcze do maja 1863 r. ciągle były nieliczne, od czasu do czasu zasilane wkraczającymi z Galicji, które na ogół wiodły krótki żywot, bo, albo rozbite u granicy, wra-

cały na terytorium austriackie, albo też po dłuższym lub krótszym wędrowaniu po kraju, dopadnięte przez przeważające siły, rozprasały się, zasilając rozbitkami inne oddziały. Broni palnej coraz to przybywało, bo wносиły ją do Królestwa formowane w Galicji oddziały, przedostawały się też przez granicę, często ogołoconą ze strazy i transporty broni, przeznaczone dla oddziałów w Królestwie.

Powstanie przecież ciągle nie było masowym, bo chłop, który mógł mu dać masę, trzymał się zrazu z daleka, o ile nie był wrogo doń nastrojony, jak w niektórych okolicach. Coraz częściej jednak chłopci garnęli się do powstania, w niektórych powiatach Mazowsza gromadnie się zgłaszali do oddziałów powstańczych, wobec czego Rząd Narodowy postanowił powołać pospolite ruszenie.

Opracowanie planu powierzono kapitanowi sztabu głównego Gałęzowskiemu, który, opracowawszy go, przewidział utworzenie z pospolitego ruszenia stutysięcznej armii, opartej jako na kadrach, na istniejących oddziałach. Dla zachowania tych kadrów w całości aż do chwili powołania pospolitego ruszenia Gałęzowski domagał się wydania rozkazu do wszystkich dowódców powstańczych, polecającego im unikanie walki i ćwiczenie oddziałów w szykach i robieniu broni, ażeby jak najlepiej przygotować się do swej przyszłej roli i ująć w siebie masę pospolitego ruszenia.

Plan liczył się z tym, że z powołaniem pospolitego ruszenia, nieprzyjaciel z konieczności zacznie się koncentrować, co da Polakom dwa do trzech tygodni czasu do przebrania ruchawki i stworzenia z niej stotysięcznej armii. Armia ta powinna się koncentrować i organizować głównie w województwie lubelskim, osłoniętym z lewej flanki Wisłą, a z tyłu granicą galicyjską, ułatwiającą dostawę wszelkiego sprzętu wojennego i nadciąganie zorganizowanych posiłków z Galicji. Ponadto stworzenie polskiej armii w Lubelskim odcinało nieprzyjaciela, zajmującego województwa sandomierskie i krakowskie, od łączności ze wschodem i dawało możliwości kontaktu z Wołyniem i w ogóle z zabranymi prowincjami. Wymagało jednak przede wszystkim pieniędzy.

Według dorywczych obliczeń koszt powołania pospolitego ruszenia miał wynieść w przybliżeniu 20 milionów złotych polskich, co wydaje się sumą raczej zanadto niską. Aby uzyskać fundusze, potrzebne na uzbrojenie tej masy ludzi, Rząd Narodowy zamierzał rozpisać pożyczkę narodową w wysokości 21 milionów złotych i dopiero po uzyskaniu z niej wpływów można było myśleć o realizacji tego planu w całości.

Tymczasem zaś należało podtrzymać powstanie w Królestwie, rozszerzające się powoli na Litwę i Ruś. W stosunku do Królestwa,

a w przyszłości i dla Rusi, podstawą, z której wychodziły nowe, jako tako uzbrojone i zorganizowane oddziały, była Galicja. Jak już wspominałem, często były one spotykane u granicy przez Rosjan, którzy znosili je zanim mogły cośkolwiek zdziałać. Dlatego też taktyką wkraczających oddziałów było jak najbardziej niespodzianie i w ukryciu przejść przez granicę, a potem jak najszybciej odsadzić się w głąb kraju, by tylko przedrzeć się przez dosyć silne garnizony graniczne.

Nie zawsze się jednak udawało utrzymać w tajemnicy miejsce zbiórki oddziału i punkt przejścia przez granicę, tym bardziej, że z ciągłym zasilaniem rosyjskich wojsk w Królestwie zwiększały się i siły Rosjan nad granicą, a z nimi ich czujność, nie mówiąc już o wytężonej pracy wywiadu rosyjskiego, współpracy z Rosjanami policji austriackiej, no i gadatliwości powstańców.

Dlatego też Mierosławski w czasie swego pobytu w Krakowie wysunął pomysł jednoczesnego wkroczenia do Królestwa kilku oddziałami w kilku różnych miejscach dla rozpróśnienia uwagi, a nawet może i sił przeciwnika; spodziewał się on, że oddziały polskie albo znajdą słabe siły naprzeciwko siebie, albo też jeden z nich zostanie wstrzymany i wda się w walkę z przeważającymi siłami rosyjskimi, które zwiąże, podczas gdy inne oddziały swobodnie przejdą granicę i, dążąc na odgłos walki, pośpieszą na pomoc polskiemu oddziałowi, znajdującemu się w walce, przy czym ich zjawienie się już z wnętrza kraju zaskoczy Rosjan. Po przejściu granicy oddziały te miały się oddzielnie posuwać, a wspólnie walczyć.

Koncepcja Mierosławskiego, zastosowana zresztą także przez jego przeciwnika politycznego Jordana, w zasadzie słuszna — w praktyce zawiodła okropnie, powodując okropną rzeź oddziałów, które zbierały się słabsze, niż przewidywano, a więc przechodziły granicę na wielkiej przestrzeni w małych grupkach; opóźnione przez nieudolne zbieranie się ludzi i dostawę uzbrojenia, przeszły one granicę w różnym czasie tak, że Rosjanie zdążyli dwa oddziały znieść tymi samymi siłami, wreszcie złożone z rekrutów nie były w stanie zetrzeć się nawet z małymi, ale zdecydowanie występującymi jednostkami rosyjskimi.

Podobnym do koncepcji Mierosławskiego był plan pomocy powstaniu na Rusi. Miały tu jednocześnie wkroczyć z różnych stron oddziały Wysockiego z Podola, Gołuchowskiego z Pokucia i Miłkowskiego z Wołoszczyzny, a Menotti Garibaldi miał wylądować z korpusem ekspedycyjnym w Odessie.

Plan ten, jak inne szeroko zakrojone, nigdy nie doczekał się realizacji, bo oddział Gołuchowskiego nie był gotów, Garibaldiego wyprawa w ogóle nie doszła do skutku, a oddział Miłkowskiego, zatrzymany

w pochodzie przez Wołoszczyznę, po zwycięskiej walce z Rumunami, zmuszony został do kapitulacji. Jeden tylko oddział Wysockiego wkroczył na Wołyń, ale podzielony na trzy części, które miały zejść się u celu natarcia, w Radziwiłowie, zawiódł także. Jeden z jego oddziałów w ogóle nie przybył na pole walki, drugi, przybywszy wcześniej pod Radziwiłów, uderzył sam na miasto i poniósł klęskę, trzeci zaś dowodzony przez samego Wysockiego, przybywszy na pole walki po klęsce drugiego oddziału, także się nie oglądał na inne kolumny i podjął walkę, w której uległ, i wrócił do Galicji.

Trzeba przyznać, że w całej masie dowódców, albo zupełnie nie wiedzących, co począć z powierzonym im lub utworzonym przez siebie oddziałem, albo usiłujących nim dowodzić jakby częścią armii regularnej, działającej w związku z jednostkami, znalazło się kilku, którzy od razu chwycili się najwłaściwszej taktyki walki, zmieniającej się zależnie od okoliczności. Do nich zaliczyć należy Rogińskiego, Narbutta, Czachowskiego, których działania z oddziałami nieorganizowanymi i nie bardzo wyszkolonymi nie zawsze uwieńczone skutkiem, zmierzały do szkodzenia nieprzyjacielowi przez niespodziane napady, zasadzki i ostatecznie natarcie wręcz, gdy już nie mogło być inaczej. Właściwej taktyki trzymali się dowódcy tacy, jak Chmieliński, Rębajło-Kalita, którzy znowu mając możność podszkolenia nieco swych oddziałów, za przykładem swoich kolegów z wojska regularnego nie popadli w rutynę dowódców kompanii w batalionie, czy batalionu w pułku, lecz bardzo giętko dysponowali w walce swymi kompaniami, dbali o ich ruchliwość, umieli się ubezpieczać, a w rezultacie potrafili narzucić swą inicjatywę przeciwnikowi.

Największym złem armii powstańczej była jej niestałość, zmienność, znikanie oddziałów, rozpuszczanych przez dowódców, oraz wzajemny stosunek dowódców oddziałów do siebie. Oddziały liczyły po 1.000 ludzi i więcej, lub po trzydzieści, ale dowódcy ich uważali się za będących na równych prawach. Stopnie wojskowe dowódców tej sprawy nie regulowały, bo nieraz kapitan czy major dowodził tysiącem ludzi, a samozwańczy pułkownik z szefem sztabu majorem chadzał na czele kilkudziesięciu. Poza tym każdy oddział włóczył się, gdzie chciał, i nie tylko nie dawał pomocy innym oddziałom w razie potrzeby, ale kłócił się z nimi. Wszyscy naczelnicy oddziałów mieli prawo życia i śmierci w całym kraju i dopuszczali się nie raz strasznych nadużyć, a oddziały ich były panami wszystkiego i robiły, co chciały. Co gorsza — naczelnicy oddziałów uważali się za ich właścicieli i urlopowali je według własnego widzimisie, rozpuszczali lub przechodzili z nimi granicę, kiedy już się uważali za zmęczonych.

Chcąc przeciwdziałać temu stanowi rzeczy, Traugutt, jako dyktator, uciekł się do organizacji wojskowej. Jak sam tłumaczył, nie szło mu o to, żeby potworzyć korpusy, dywizje itd., ale chciał jednego naczelnika nazwać dowódcą kompanii i podporządkować bezwzględnie drugiemu, któremu dawał funkcję dowódcy batalionu itp., aż do dowódcy korpusu. Spodziewał się, że utworzenie takiej hierarchii od razu da możliwość okiełznania samowolnych dotąd ruchów oddziałów i przy pomocy ludzi rozumnych będzie można kierować nimi ku ogólnemu celowi. Znana wszystkim organizacja nie wymagała żadnych objaśnień i można ją było zaraz wprowadzić.

Organizację wojskową z podziałem na korpusy, dywizje itd. wprowadził Traugutt dekretem z dnia 15. XII. 1863. Dekret ten, którego głębsze przyczyny nie znane były ogółowi, wydany w momencie, gdy powstanie chyliło się ku upadkowi, został bardzo nieprzychylnie osądzony przez większość prasy europejskiej i opinię kraju, ponieważ wyglądał na próbę okłamania opinii przez szumnie brzmiące numery korpusów, gdy w istocie nie było już co organizować.

Organizacja przewidywała utworzenie 3, a następnie 5 korpusów, obejmujących ziemie polskie. Korpus I miał objąć oddziały województw Mazowieckiego i Płockiego, II — Krakowskiego, Sandomierskiego i Kaliskiego, III — Augustowskiego i Grodzieńskiego, jednak w III Korpusie doszło do sformowania 3 kompanii 1 pułku strzelców, I, IV i V w ogóle nie podjęły formacji, a jedynie II korpus pod dowództwem generała Bosaka-Haukego zaczął realizować nową organizację, tworząc kadry dwóch dywizyj: Krakowskiej i Sandomierskiej. Dzięki zastojowi w działaniach wojennych z powodu wielkich śniegów i dużych mrozów udało się przeprowadzić skupienie oddziałów, liczących w dywizji krakowskiej po 1 pełnym batalionie każdego z 3 pułków dywizji oraz pułk kawalerii.

Z siłami tymi, których dokończenia organizacji spodziewał się wkrótce, zamierzał Bosak zająć kilka punktów, jak: Św. Krzyż, Cisów, Pieskową Skalę, poobsadzać je silnymi załogami i, mając takie podstawy, powołać pospolite ruszenie i rozpocząć działania na szerszą skalę.

Jednakowoż, gdy podczas jego nieobecności, oblawa rosyjska zagroziła leżom korpusu, Kurowski i Topór postanowili przełamać pierścień wojsk rosyjskich i uderzyć na Opatów. Z powodu opóźnienia się oddziałów natarcie na zaalarmowaną załogę Opatowa nie powiodło się. Z niezrozumiałych powodów zamiast odsunąć się dalej poza obręb oblawy rosyjskiej, zebrawszy siły polskie z pod Opatowa, Kurowski polecił wrócić oddziałom na swoje dawne stanowiska, czyli w środek oblawy.

Zarządzenie to Kurowskiego było grobem II korpusu, gdyż oddziały jego teraz uległy zupełnemu rozbiciu. Z ich zniknięciem już tylko tu i ówdzie ukazują się małe oddziały, ścigane zawzięcie przez Rosjan, ostatnim echem zaś powstania jest wzięcie księdza Brzóska w Sypyłkach dnia 29 kwietnia 1865.

Rekapitułując ten zwięzły zarys prowadzenia wojny ze strony polskiej, stwierdzić musimy, że w żadnym z powstań narodowych wojskowe jego przygotowanie nie stało tak nisko, jak w roku 1863. Takiego braku uzbrojenia i tak nieprzygotowanego dowódcy i żołnierza nie mieliśmy nigdy, chyba może w epoce upadku Rzeczypospolitej. Braków dowódcy i żołnierza nie mógł wyrównać nawet ich zapał i ofiarny duch poświęcenia, dlatego też krew darmo przelana i nie-szczęścia spadłe skutkiem powstania na kraj tak ciężko zaważyły przez lat 50 na umysłach całej Polski, przez dwa pokolenia prawie, aż pokolenie wnuków odważyło się wyciągnąć naukę z powstania.